

# Październik 1891



# Rozdział 1

**W**ody kanału La Manche tworzyły niemal płaską powierzchnię. Tylko małe falowanie zdradzało, że świat nie zapadł się w jakąś szarą nicość. Siny kolor wody nie miał końca ani początku. Tak samo jak gęsta mgła zalegająca nad samą powierzchnią. Widoczność została dramatycznie ograniczona. Statek Calais Douvres miał wodę za pomocą kół z łopatkami po obu stronach kadłuba. Z dwóch kominów wydobywał się delikatny dym.

Normalnie podróż na drugą stronę zajmowała około półtorej godziny, gdyby się komuś śpieszyło, to mogła się skrócić do sześćdziesięciu minut. Dzisiaj nie było ani normalnie, ani się nikomu nie śpieszyło. Mgła była tak gęsta, że zbyt duża prędkość mogła narazić na zderzenie, a zbyt wolny rejs spowodowałby spóźnienie na pociąg w Dover.

Kapitan zapewne wybrał kompromis między bezpieczeństwem a biznesem. W ogóle nie powinien był wychodzić z portu, ale wiedział, że to się skończy awanturą. Dlatego podjął ryzyko. Płynęli tylko nieco wolniej niż zwykle. Większość pasażerów znikła pod pokładem lub płóciennym zaszeniem.

Zostały tylko dwie osoby. Jeden mężczyzna obserwował obracające się łopaty umieszczone na kołach po bokach statku. Drugi stał nieco z prawej strony nadbudówki. Usiłował przebić się wzrokiem przez mgłę.

Nagle ten pierwszy zdjął kapelusz i podszedł do barierki. Pochylił się, jakby chciał wydłużyć szyję tak, aby móc się przebić przez białą masę otaczającą statek. Coś rzeczywiście w niej zamajaczyło. Mężczyzna odrzucił blond włosy z oczu i wychylił się jeszcze mocniej. Ten drugi zrobił to samo. Miał przeczucie, że coś się dzieje po prawej burcie. Pojawił się buzujący, biały ślad wody podnoszonej przez dziób innego statku. Po sekundzie stało się jasne, że rozbijane fale są większe niż przy dziobie pasażerskiego transportowca.

– Okręt z prawej burty! – wykrzyknął blondyn i pobiegł w stronę sterówki.

Załoga popatrzyła w tamtą stronę. Nikt się jednak nie ruszył. Wszystkich całkowicie zamurowało. Przez małe okienka było widać, jak młody człowiek wyręcza sternika i kręci mocno kołem. Jednak Calais Douvres nie reagował. Wtedy z mgły wyszedł olbrzymi dziób okrętu wojennego. Za nim pojawiła się cała reszta pancernego potwora pomalowanego na szarą, maskującą barwę. Niewątpliwie znajdował się na kolizyjnym kursie z pasażerskim statkiem.

Drugi pasażer znajdujący się na pokładzie zaklął paskudnie w swoim rodzinnym języku. Poprawił się szybko po angielsku, ale na szczęście nikt go nie słyszał. Tupnął niecierpliwie nogą. Powinien mieć ze sobą aparat i sfotografować przepływający okręt. Skrzyneczka jednak spoczywała pod pokładem z torbą podróżną.

Mogło się jednak okazać, że nie będzie to miało żadnego znaczenia, bo ich szanse na uniknięcie zderzenia były minimalne. Na szczęście dało się wyczuć, że ich statek powoli odchyła się w lewo i przyspiesza. Pojawiła się mała

szansa, że Calais Douvres umknie spod topora, jakim był dziób pancernika, który pędził z prędkością około dwiętnastu węzłów. To była istna góra stali. Pancerny okręt z armatami zakutymi w stalowych wieżach nie zwolnił. Z przodu powiewała flaga, której barw nie dało się rozpoznać z powodu dominujących sinich kolorów. Przed mostkiem sterczały dwie lufy nieprawdopodobnych dział o olbrzymiej średnicy. Potem z mgły wychynęły maszt przedni oraz dwa kominy.

Statek pasażerski wydał z siebie rozpaczliwy jęk. Niby to kapitan pociągnął za syrenę, ale zabrzmiała ona jak prośba o łagodny wymiar kary. Dziób jednak nadal zbliżał się do burty Calais Douvres, a burta ta nadal próbowała się uchylić jak człowiek, który próbuje uniknąć ciosu pięścią. Statek powoli się odwracał. Było jednak tak blisko, że dało się odczytać nazwę okrętu wojennego. Camperdown.

Mężczyzna westchnął ciężko. Wiele by dał, gdyby mógł mieć fotografię tego pancernika. Należał on do floty brytyjskiej strzegącej wód Kanału Angielskiego.

I wtedy nastąpił cud. Calais Douvres odebrał spóźniony rozkaz skrętu i kadłub zaczął odwracać się w równoległym kierunku co pędząca maszyna wojenna. Dziób pancernika minął wirujące koło z łopatkami o kilka metrów. Przez moment oba obiekty pływające ustawiły się burta w burtę. Camperdown nadal nie zwalniał. Przy relingu stało kilku przerażonych marynarzy. Mogli tylko śledzić wzrokiem koła pasażerskiego statku mielące wodę.

Pasażer miał wrażenie, że może przesunąć dłonią po poszyciu pancernika. Tak blisko przesuwała się jego burta.

Zastanawiał się nad siłą bojową tego okrętu. Miał pewnie ze sto metrów, kaliber armat sięgał trzystu pięćdziesięciu milimetrów, a maksymalna prędkość sięgała dwudziestu węzłów.



Pasażerowie przyglądali się z zaciekawieniem młodemu człowiekowi, który kilka minut temu ich uratował. Stał teraz na dziobie i założył przyciemniane okulary. Czyżby miał syfilis? A może to jest dobry pomysł na czas, gdy świeci słońce. Pojawiło się ono tak szybko, jak okręt wojenny. Mgła się rozplynęła i dzień wyglądał zupełnie inaczej.



Ten drugi pasażer przyglądał się bohaterowi. Kiedy słońce nadało dniu właściwy wygląd i wydobyło cienie po odejściu szarej mgły, podszedł do Dobrowolskiego i uchylając nakrycie głowy, zapytał:

– Czy mógłby mi pan zrobić zdjęcie?

– Pan chyba żartuje – zdziwił się blondyn. – Proszę wezwać jakiegoś fotografa albo jechać do zakładu czy jakiegoś atelier.

– Ach, nie. – Uśmiechnął się ten drugi. – Ja chciałbym zrobić zdjęcie tutaj, na statku.

– W jaki sposób? – Młody rozejrzał się w poszukiwaniu sprzętu. – Czym?

– Mam ze sobą aparat. – Mężczyzna pokazał brązową skrzyneczkę.

– To domek dla ptaków? – Młodszy zrobił zdziwioną minę.

– Ależ nie. – Ponownie uśmiechnął się tamten. – To jest aparat Kodak. Numer 1. Robi się nim zdjęcia na specjalnej przewijanej folii. Takiej taśmie...

– Byłem w zakładzie Kodak w Paryżu. Nie mieli nic takiego. – Blondyn zmarszczył czoło.

– W Ameryce produkują to już od trzech lat, ale do Europy trafiają dopiero pierwsze egzemplarze. – Mężczyzna okazał swą dumę. – Ja posiadam jeden z nich.

Bohaterski młody człowiek był pod wrażeniem. Pozwolił się ustawić tak, aby słońce dobrze operowało na jego twarzy, a za nim majaczyły brzegi w okolicach Dover.

– Malutki – powiedział z podziwem, patrząc na pudełko wielkością przypominające domek dla ptaków. Po ustawieniu kadru panowie szybko zamienili się miejscami.

Blondyn zdziwił się, że postać jest mała, a cała uwaga skupia się na instalacjach portowych, ale w końcu to nie jego zdjęcie. Miał przecież tylko nacisnąć migawkę.



Kilka dni wcześniej małe miasteczko na obrzeżach Berlina było wypełnione przybyłymi z okolic mieszkańcami. Ulice Oranienburga zaroily się z kilku powodów. Jednym z nich był targ warzywny i owocowy, dzięki któremu można było wypełnić spiżarnie, ale oprócz tego zjechał tam cyrk prowadzony przez znanego atletę Aldiniego. Rwał on łańcuchy i prostował podkowy. Oprócz tego zatrudniał magików, linskoczków i treserów zwierząt. Dlatego mieszkańcy okolicy tłumnie zjawili się w mieście, aby zobaczyć te cuda. Ciekawość była wielka zarówno między dawnymi mieszkańcami

Brandenburgii, jak i licznymi potomkami przybyszów z Niderlandów, od których barw pochodziła nazwa miasta.

Był to najlepszy czas, aby wmieszać się w tłum i dostać się niezauważonym do gospody niedaleko rynku. Niepozorny starszy mężczyzna niczego nie udawał i przed niczym się nie krył. Mógł wszak uchodzić za zwykłego mieszczanina. Może istniałoby ryzyko rozpoznania w Berlinie, Hamburgu albo Danzigu, ale nie tutaj. Wielu siwiejących panów w surducie i palcie z cylindrem na głowie przesuwano się ulicami Oranienburga.

Miejsce przy stoliku pod ścianą było wolne, więc usiadł tam i zamówił grog, bo stopy mu przemarzły. Napój przybył równocześnie z umówionym na spotkanie gościem, który po prostu zamówił to samo.

– Jest pan o czasie. – Uśmiechnął się starszy.

– Jak zawsze. – Tamten się odwzajemnił, ale w nieco udawany sposób. – Taka cecha mojego starego rodu.

– Pańskiego czy tego, który pan wybrał na fałszywą tożsamość?

– Na szczęście obu – zaśmiał się gość. – Ale teraz już trzymajmy się właściwego nazwiska. A dziś właściwe jest nowe.

– Znakomicie. – To słowo wyrażające zachwyt udało się wypowiedzieć zupełnie bez emocji. – Wydaje się, że wszystko jest dobrze przygotowane.

– Wydaje się? – zaprotestował tamten. – To brzmi z angielska. U nas nic się nie zdaje. U nas *ordnung muss sein*.

– Założyliśmy panu firmę, aby pana podróż miała wszelkie znamiona prawdopodobieństwa – podsumowywał

stary. – Paszport i dokumenty są doskonale podrobione. Skrzynki kontaktowe i sposób komunikowania uzgodnione.

Młodszy sięgnął po grog. Wypił mały łyżeczek. Nie lubił takich podsumowań w ustach starego. Wyglądało to tak, jakby to tamten wszystko zrobił sam. Tak przecież nie było.

– W razie czego – powiedział wreszcie młodszy – zniknę i nikt mnie nie będzie kojarzył z nazwiskiem. Wy zaś będziecie mogli zaprzeczyć, że mnie znacie.

– Ma pan gdzie się tam zatrzymać? – zmienił temat tamten.

– Mam... – Młodszy znowu wziął łyk grogu.

Zapadła chwila ciszy.

– Oczywiście – potwierdził siwy mężczyzna, nie czekając dłużej. – Nasz cel jest niezmienny.

– Flota – padło z tamtej strony..

– Plany, dane, broń, pancerze...

Młody kiwnął głową.

– Za tę część wywiadu odpowiadamy my. – Zrobił dłuższą przerwę, aby pokazać dumę. – Oficerowie marynarki.

Młody tylko pokiwał.

– Nie możemy się dać złapać – kontynuował stary. – W zamian za tę wyłączność na działania na terenie brytyjskim, musimy wykonywać pewne dodatkowe zadania.

Ostatnie zdanie wypowiedział z niechęcią.

– To znaczy... – zdziwił się młodszy.

– Dostarczy pan niewielką porcję broni. Rewolucjonistom.

– Socjalistom czy anarchistom? – zapytał szpieg. – Wspieramy ich?

– U nas zwalczamy, a u innych wspieramy. Jak będzie trzeba, podpiszemy pakt z diabłem, żeby pokonać Wielką

Brytanię lub Rosję – zakończył stary. – Wyślemy tam wagony socjalistów, gdyby była szansa obalenia rządów.

– Tylko nie od razu – zaznaczył młody. – Dajcie mi się trochę zdomowić.

Starszy mężczyzna zaśmiał się i pokręcił głową.

– Tym razem nie chodzi o tych robotniczych oszołomów – powiedział. – Idzie o Irlandczyków.

Jego młody rozmówca udawał, że się nie zdziwił. Jednak informacja o wsparciu dla niepodległości zielonej wyspy była zaskoczeniem.

– Im też wyślemy wagony... broni? – zapytał szpieg.

– Jeśli już, to okręty pełne karabinów – skorygował szef. – Jednak pan dostarczy tylko próbkę. Ale dopiero, jak się pan tam... zdomowi.

Wrócili do właściwego tematu rozmowy, odkładając problemy irlandzkie na inne czasy. Przez długą opowieść o planach niemieckich i podejrzaniach wobec Brytyjczyków przeszli kilka dni temu w sztabie. Teraz mówili o fascynacjach Cesarza i zapędach admirałów, aby prześcignąć wypiarzy na morzach.

– Mam dla pana jeszcze jeden prezent – powiedział starszy mężczyzna. Potem podał mu trzy płaskie, papierowe zawiniątka. – To eksperymentalne lekarstwo. Może się przydać na angielskie chłody.

– Będziecie na mnie eksperymentować? – oburzył się szpieg.

– Niedługo będzie to powszechne – zachnął się tamten. – Niech pan nie dramatyzuje. Rodzina znanych farmaceutów z Leverkusen kończy próby. Nazywają się Bayer.

Młodszy mężczyzna niechętnie sięgnął po papierowe paczuszki i schował do kieszeni surduta.

– Kiedy opuści pan Niemcy?

– Jutro... – rzucił młody – albo pojutrze. A może już mnie nie ma.

Zaśmiał się delikatnie, ale zauważył, że nie znalazł zrozumienia po drugiej stronie stołu.



## Rozdział 2

**T**a pięść w normalnych warunkach mogłaby rozwalić dębowe drzwi, ale tym razem jej uderzenie we wrota szpitalne było nadzwyczaj słabiutkie. Ledwie wydało z siebie lekki dźwięk, jakby kulka śniegu spadła na deskę. Mężczyzna o posturze wielkiego siłacza skurczył się do rozmiaru dziecka. Przy tym zakasłał się na kilkadziesiąt sekund. Nie miał siły na cokolwiek więcej. Jeszcze raz próbował uderzyć i udało mu się nieco mocniej, ale potem opadł na ziemię. Nad jego głową widniała nazwa szpitala, do którego usiłował się dostać, ale niemal stracił możliwość oddychania.

Na szczęście dla niego ktoś go usłyszał, bo w oczach zamajaczyła biała postać siostry mówiącej z przejęciem do kogoś kucającego obok. Mężczyzna nie zrozumiał niczego. Słabość odebrała mu możliwość słuchania. Zaczął ponownie kasłać i próbował złapać choć jeden krótki oddech. Nie dawał rady. Świadomość się urwała.

– Kolejny – szepnął z olbrzymim skutkiem lekarz, pochylając się nad chorym. – Znowu to samo. Nie może oddychać.

– Trzeba go zanieść do sali... – przypomniała siostra.

– A tam i tak nie będziemy mogli mu pomóc – wściekał się, a potem zerknął na pielęgniarkę. – Dlaczego nie ma siostra niczego na ustach i nosie? Trzeba zasłaniać twarz!

– A... bo ja... przecież...

– Siostra myśli, że jest nieśmiertelna?!

Podbiegli kolejni pracownicy szpitala. Pojawiły się nosze i położono na nich chorego. Lekarz tylko bezradnie patrzył.

– Gdybym jakimś sposobem umiał mu wtłoczyć powietrze do płuc? Jakąś pompą...



Maszynista tylko skinął głową, a jego pomocnik dorzucił do paleniska wielką łopatę węgla. Już było gorąco, ale po kilku chwilach zrobiło się jeszcze cieplej. Pisnęła para i gwizdnął sygnał. To był znak, że są gotowi do odjazdu. Zawiadowca podniósł lizak i pociąg wolno ruszył. Po kilku sekundach odsłonił napis z nazwą stacji: Portsmouth.

W przedziale pierwszej klasy od pewnego czasu siedział skupiony mężczyzna w admiralskim mundurze. Jego wzrok spoczął na budynkach znajdujących się w pobliżu dworca kolejowego, ale odnosiło się wrażenie, że patrzy dużo dalej. Można się było domyślić, że jako marynarz widział oczami wyobraźni wojenny port wypełniony okrętami oraz marynarzami krzątającymi się po pokładzie.

– Dobry wieczór – powiedział uprzejmie pasażer, który się dosiadł.

Admirał nic nie odpowiedział, bo był zamyślony, ale jego adiutant skinął głową i sprawdził, czy jego przełożony nie poczuł się niekomfortowo. Jednak nic się nie wydarzyło. Jego wzrok nadal szukał czegoś za oknem.

– Panowie do Londynu? – zapytał przybyły i szybkim, mało dyskretnym rzutem oka rozejrzał się po przedziale.

Na półce leżała podróżna waliza wojskowa oraz duża, płaska skórzana teczka.

– Tak. – Adiutant tylko skinął głową. Nie zainteresował się jednak, czy nowy towarzysz zmierza w tym samym kierunku. Ten nic sobie z tego nie robił.

– Ja również – kontynuował bez pytania tamten. – Interesy wzywają. Sprzedaż jest najważniejsza. Prawda? A stolica to stolica... Tam jest zdecydowanie najlepszy zbytni i można szybko zarobić.

Nieco zniecierpliwiony wzrok admirała spoczął na mężczyźnie. Pasażer nie stracił rezonu. Uśmiechnął się tylko, pokazując zęby. Ale nie zyskał zainteresowania oficera. Adiutant spojrział spode łba i zrobił minę, która mówiła, że jego przełożony tak już ma. Mężczyzna coś mruknął, wyrażając zrozumienie.

Pociąg zaczął przyśpieszać. Admirał wstał i wyszedł. Znikł w głębi wagonu, kierując się ku końcowi, gdzie była ciasna toaleta. Tymczasem asystent się rozluźnił i uśmiechnął do przybyłego mężczyzny, prosząc o zrozumienie dla przełożonego.

– Wiem, jak to jest – zagadał tamten. – Jak się jest admirałem i do tego w takim ważnym porcie... Widziałem paru takich oficerów u nas... Ale tych z piechoty, a pan admirał to pewnie na niezłych statkach pływał.

– Okrętach – poprawił odruchowo.

– Jeszcze lepiej – rzucił podróżny. – Taki ważny admirał, to może patrzeć z wysoka.

– Może – potwierdził. – Jest naprawdę kimś. To admirał John Fisher, jest nie tylko admirałem, ale także...

Zamilkł. Zaczął się zastanawiać, skąd pochodzi jego rozmówca. Mówił dobrze po angielsku, ale miał ewidentny twarde akcent obcokrajowca.

– Proszę się uspokoić – zaśmiał się nieco zbyt głośno podróżny. – Nikomu nie powiem.

Gość wstał i wyjrzał przez okno. Wagonem zachybotało. Stracił równowagę i oparł rękę o uchwyt płaskiej skórzanej teczki i powoli odwrócił się do adiutanta. Wbił w niego wzrok i powiedział jowialnie:

– A tutaj pewnie wiezie jakieś bardzo ważne papiery...

– Nie mogę powiedzieć – wystraszył się młody człowiek.

Prawa ręka nadal spoczywała na uchwycie teczki.

– Proszę to zostawić – powiedział stanowczo admirał John Fisher, stojąc w otwartych drzwiach przedziału. – Proszę siadać.

Podróżny powoli opuścił rękę, puszczając teczkę. Zaśmiał się.

– Ale o co chodzi? – Natychmiast opadł na siedzenie. – Miałem taką myśl, ale może zbyt wcześnie... Że może jakiś interes można by zrobić. Jak pan sądzi? Admirale? Jest szansa na dobry biznes z Royal Navy?

– Z pana akcentu wnioskuję, że jest pan Niemcem – odrzekł zimnym głosem Fisher. – I dla relacji między naszą ukochaną Królową a jej wnukiem Willym lepiej będzie, jak nie będziemy dyskutować o żadnym interesie.

– Nie jestem Niemcem – obruszył się gość. – Nazywam się van Rooyen i jestem Burem. Przybyłem dziś z Kapstadu.

Jego gwałtowne zaprzeczenie zaskoczyło nieco adiutanta, ale nie zmieniło nastawienia Fishera. Admirał spokojnie usiadł na swoim miejscu i beznamiętnie popatrzył za okno.

Bur przełknął ślinę, czując moc słów admirała. Potem bez słowa wyszedł na korytarz. Tam nerwowo zapalił papierosa. Adiutant siedział skamieniały, a po plecach spływała mu stróżka potu.



Pokój, w którym Królowa zasiadła wieczorem, był odrobinę zbyt chłodny. Szkocja robiła się już trudna do wytrzymania. Wiktorii przebiegł po plecach dreszcz i nie wiązał się on z emocjami. Po prostu zobaczyła zziębniętą mysz, która pojawiła się na pałacowym dywanie. Wyglądała, jakby właśnie weszła do środka z zimnego podwórka i była rozczarowana chłodem panującym wewnątrz. Potem znikła w jakiejś szparze.

Królowa pozazdrościła myszce prostego życia. Ona sama miała na głowie zdecydowanie większe problemy. Wspominała poranną korespondencję i list od cesarza Niemiec. Jakże ona musiała się zmuszać do obcowania z tym dziwnym człowiekiem. Był jej wnukiem i zapewniał o swoim uwielbieniu dla niej, a z drugiej strony brzmiało to wszystko tak bardzo nienaturalnie i fałszywie. Oczywiście i ona sama umiała z uśmiechem na ustach zapewniać o swoich uczuciach, a za plecami przygotowywać ostrze do pchnięcia. Jednak wszystko w granicach uznanych na Wyspach Brytyjskich. U Wilhelma, którego pieśczośliwie nazywali Willy, wyczuwało się delikatność nosorożca i szczerłość grzechotnika.

Królowa Wiktorja nie ceniła też intelektu niemieckiego wnuka. Może dlatego, że nie mogła go znaleźć.

Westchnęła na myśl, że musi spotykać się z nim przy rodzinnych okazjach. Willy uwielbiał się wpraszać na różne sposoby. Popsuł w ten sposób ostatni pobyt w Cowes latem, na regatach. Tak bardzo rozprawiał o swoim jachcie i marzeniach o wielkiej flocie, że musieli go zgasić podczas wyścigu, wyprzedzając o kilka długości. Na to wspomnienie Królowa się akurat uśmiechnęła.



Małe, nieoświetlone drzwi pałacu otwarły się bez najmniejszego skrzypnięcia czy szelestu. Nieopodal stała dorożka z podniesioną osłoną. W wątym świetle dobywającym się z wnętrza pojawił się młody mężczyzna. Wyglądał dość podejrzanie. Nie rozglądał się i nie widać było po nim obawy przed mrokiem. Trudne do uchwycenia spojrzenie ukrywało się dodatkowo za opadającymi powiekami. Nawoskowane wąsy błyszczały pod nosem, a wydłużona twarz chowała się w wysokim kołnierzu nad wyraz eleganckiego płaszczka.

Mężczyzna już miał wsiadać do dorożki, kiedy nagle cofnął się i wszedł ponownie do środka. Przejrzał się w lustrze i szybko podbiegł do pojazdu. Wskakując na stopień, wycedził nazwę znanego klubu w centrum Londynu. Potem usiadł, znikając w cieniu. Strzelił cienki bacik nad głową konia i szybko ruszyli przed siebie.

– Książę! – Na podjeździe pojawił się lokaj, ale tylko popatrzył w ciemność i zrezygnowany wrócił do środka.



Mniej więcej w tym samym czasie pod budynek admirali-  
cji zajechał powóz z oznaczeniami Royal Navy. Wskoczył  
z niego admirał Fisher i szybkim krokiem udał się do wej-  
ścia, potem przeszedł korytarzami do małego pokoju na  
uboczu. Próbował nadążyć za nim adiutant, ale obciążony  
bagażem nie miał szans. Wpadł do pokoju, kiedy admirał  
przyparł do ściany oficera dyżurnego.

– Ścisła tajemnica. Żadnych obcych. Zrozumiano?  
Tamten tylko kiwnął głową.



Punktualnie o ósmej rano pod wejście na plac budowy To-  
wer Bridge zajechał powóz admiralicji. Kolejno wysiadło  
z niego dwóch mężczyzn w mundurach wysokich ofice-  
rów oraz jeden zwykły kapitan. Wolnym krokiem, unosząc  
głowy, aby przyjrzeć się powstającej konstrukcji, zbliżali się  
do biur. Ze środka wyszedł naczelny inżynier Edward Crut-  
twell i szeroko otworzył drzwi. Uśmiechnął się powitalnie  
i wpuścił gości do sali konferencyjnej. Pod ścianą stali zgromadzeni inżynierowie. Admirał nie wykonał żadnego gestu,  
ale dało się wyczuć, że nie jest z tego powodu zadowolony. Przypuszczał, że ustawiono ich, aby stanowili malownicze  
młode tło dla podstarzałych szefów.

– Witam, admirale. – Cruttwell jowialnie powitał pierw-  
szego z oficerów, Anthonego Hoskinsa. – Gratuluję awansu  
i nowej odpowiedzialnej roli. Zdaje się, że nie widzieliśmy

się od tamtego czasu i nie miałem do tej pory okazji złożyć uszanowania.

– To prawda, że to dość nowa sprawa. – Admirał zamachał rękami jak młoda dziewczyna. – Jak pan wie, marynarz nie wybiera, tylko jego wybierają. Dostaje rozkazy i musi działać.

– Musi pan przyznać – wtrącił się postawny, wielki inżynier John Wolfe Barry – że to miłe dostać awans i niedługo potem objąć miejsce Pierwszego Lorda Admiralicji.

Oficer udawał skromnego, ale nie wychodziło mu to za bardzo.

– Pan admirał John Fisher! – odezwał się kolejny przedstawiciel budowniczych, William Armstrong. Ucieszył się na widok drugiego oficera. – Przyjechał pan aż z Portsmouth na inspekcję naszych prac.

– Połączyłem kilka różnych interesów do załatwienia w Londynie i udało mi się dotrzeć. – Podali sobie ręce serdecznie, choć było widać u Fishera ogromne napięcie. – Obowiązki superintendenta stoczni marynarki wojennej nie kończą się w Portsmouth.

Zapadła chwila napiętej ciszy. Admirał Fisher wziął bezceremonialnie Cruttwela za łokieć i odszedł na bok. Widać było, że inżynier gęsto się tłumaczy. Pokazuje na zgromadzonych. Oficer coś odpowiada, tłumacząc w krótkich słowach. W końcu Cruttwell kiwnął głową i przystał na prośbę admirała. Podeszedł do grupy młodych inżynierów.

– Panowie – powiedział twardo. – Jesteście panowie wolni. Spotkanie odbędzie się w wąskim gronie.

Na moment zapanowało nieme zdziwienie, ale potem pojawił się gwar. Młodzi zaczęli wychodzić.

– No i dobrze – powiedział jeden, puszczając chmurę dymu z papierosa już na zewnątrz. – Ja mam co robić.

– A ja nie bardzo... – Pokręcił głową drugi. – Pierwszy dzień pracy...



Wydawało się, że czas najwyższy był już się zbierać i uciekać z tej zimnej i mokrej Szkocji. Chociaż cała rodzina lubiła tu przebywać, to jednak jesień wkroczyła na okoliczne wzgórza już kilkanaście dni temu, a teraz przeciskała się każdą szparą do wnętrza zamku.

– Szkoda będzie opuszczać Balmoral – westchnął Edward, syn królowej Wiktorii.

– Jak to opuszczać? – Królowa zdążyła powiedzieć przed łykiem mocnej herbaty. – Każdego roku przychodzi na to czas. Ale jeszcze nie nadszedł.

Dopiero teraz zerknęła na siedzącego obok syna i jego córkę Louise. Tamci westchnęli, bo mieli nadzieję na powrót do Londynu. Kolejny łyk herbaty i malutki kawałek biszkoptowego ciasteczka nie były w stanie osłodzić ich smutku.

– Mam wrażenie, że zaspaliśmy – rzuciła przed siebie władczyni Zjednoczonego Królestwa.

Rodzina zerknęła na nią zaskoczona. Było przecież jeszcze dość wcześnie. Najwyżej pół do dziewiątej. Herbatę podano o tej porze tylko dlatego, aby się nieco rozgrzać.

– Dlaczego? – zapytał Edward.

– Louise – Wiktoria wskazała wnuczkę – już dawno wyszła za mąż... Ile to będzie? Dwa lata?

– Tak, babciu – potwierdziła kobieta. – Już ponad dwa lata temu...

– No właśnie – przerwała jej Królowa. – A tymczasem jej starsi bracia nadal nie mają na widoku nawet narzeczonych.

– Mieliśmy szczęście z Louise... – próbował tłumaczyć ojciec.

– Ja miałam szczęście – powiedziała córka.

– Oczywiście – podniosła głos babcia. – Oczywiście miałam szczęście do wspańskiego mężczyzny, tak jak ja. Ale nie o to tutaj idzie. George jest bardzo nieśmiały, ale miły, mądry i na swój sposób ujmujący. Znajdzie właściwą osobę. Ale...

– Ale co? – Edward uniósł się nieco, bo bał się, że Królowa oprócz pretensji o brak żony dołączy inne skierowane wobec najstarszego syna.

– Eddy, mój kochany wnuk, wciąż jest sam. – Wiktoria dopiła herbatę i postawiła ostentacyjnie filiżankę ze spodczkiem na stoliku. – Choć czas na zabawę zawsze znajduje.

– Może lepiej niech się wyszaleje teraz – bronił go ojciec. – A nie potem, kiedy już będzie...

– Nie licz kurczaków, zanim się nie wyklują<sup>1</sup> – burknęła Królowa. – Jeszcze tu jestem i nie mam zamiaru umierać.

– Ale... – Louise chciała ratować sytuację.

– Dajcie mi chociaż jeszcze... dziesięć lat? – Władczyni imperium westchnęła ciężko. Zapadła cisza. – Jednak

<sup>1</sup> *Don't count your chickens before they're hatched* to idiom, który oznacza: „Nie dziel skóry na niedźwiedziu”.

Eddy... – kontynuowała. – Eddy musi szybko znaleźć dobrą żonę, bo inaczej pogubi się jeszcze bardziej. Tytuł Księcia Clarence i Avondale nie uczynił go mądrzejszym i bardziej popularnym wśród panien z odpowiednich kręgów.

Edward nie skomentował złościwości matki. Zacisnął zęby, wstał i nie odwracając się, poszedł w kierunku swojego apartamentu. Od kilku tygodni był sam, bo żona Aleksandra wyjechała w podróż wakacyjną po Europie i nie zamierzała wracać na znak protestu przeciwko jego zabawom pozadomowym.

Louise pokręciła tylko głową i z niechęcią odłożyła biszkopt. Potem jednak po niego sięgnęła i dojadła.



Pomieszczenie wypełniał wymieszany zapach dziesiątek wypalonych cygar oraz wypitego mocnego alkoholu. Na podłodze wałało się mnóstwo śmieci w postaci porzuconych serwet, przewróconych kieliszków czy rozsypanych kwiatów. Ostatni goście po całonocnej imprezie wyszli całkiem niedawno. W specjalnym saloniku spoczywał jeszcze jeden mężczyzna. Spał. Do środka wszedł młody człowiek z obsługi klubu. Zerknął na gościa i pomyślał: „Niby Księżę zaszczylił nas swoim towarzystwem, a zachowywał się, jak... Szkoda gadać”. Tamten przebudził się i pokazał wymęczoną twarz o opadających powiekach, jakby zawieszoną na nad wyraz długiej szyi. Rozejrzał się w poszukiwaniu wesołego towarzystwa.

– Panowie... – bąknął tamten. – Zabawa była znakomita.

– Bardzo się cieszę – powiedział służący. – Jest pan...  
Wasza Wysokość zawsze mile widziany.

– Świetnie – zaśmiał się ten, którego tytułowano księciem. – To znaczy, że jeszcze tu zajrzę... i nie przesadzaj z tą „moją wysokością”. – Zaśmiał się z własnego dowcipu. – To nie to miejsce i czas na takie sformuuu... ńło... wa-ania – kontynuował, przeciągając i jękając się. – Przyjdzie jeszcze ten moment.

Księżę poprawił rozchełstane ubranie i ruszył do drzwi. Kolejny służący podał mu płaszcz. Przejrzał się w lustrze, jakby magicznie mógł coś zmienić w swoim fatalnym wygładzie. Układ kołnierza i pochylenie cylindra było ważniejsze niż cokolwiek innego.

– Więc to jest ten następca tronu? – zapytał z lekkim zaskoczeniem w głosie szatniarz.

– Tak... – westchnął lokaj. – Babcia była szczęśliwa, kiedy się urodził, i wymusiła, aby nadać mu imiona po niej i dziadku. Dlatego nazywa się Albert Victor, Księżę Clarence i Avondale.

– Od razu podwójny – zaśmiał się szatniarz.

– Ale wołają na niego Eddy...

– Jak na wioskowego głupka.

Zaśmiali się obaj.



Admirałowie i kierownictwo budowy zbliżyli się do stołu, gdzie leżały przygotowane plany mostu. Były to ogólne rysunki pokazujące most w całości z różnych perspektyw. Młodzi inżynierowie zaglądający z zewnątrz przez okno rozeszli się po wypaleniu papierosów.

– Ciekawe, o czym rozmawiają? – zastanawiał się nowy.

– To rutynowe spotkanie – powiedział ostatni, który został. – Proste pytanie: jak daleko jesteście zaawansowani w proces budowy?

– Wydaje się, że wszystko idzie zgodnie z planem – zgadywał.

– Z tego, co wiem, to konsultacje miały dotyczyć rozmiarów okrętów, które mogą przejść pod mostem.

– Okrętów?

– W końcu to marynarka wojenna. – Młody Anglik się uśmiechnął.

– Czyżby chcieli tu wprowadzić jakieś pancerniki? – Uniósł brwi nowy.

– To jest chyba ta tajemnica – domyślał się asystent.

– Camperdown pewnie by się zmieścił...



Tymczasem wewnątrz trwała ożywiona dyskusja. Najmocniej swoje argumenty przedstawiał admirał Fisher wobec swojego przełożonego Hoskinsa. Inżynierska kadra kierownicza jedynie przysłuchiwała się tej rozmowie. Podobnie jak młody kapitan stojący nieco z boku. On głęboko wsłuchiwał się w argumenty obu stron. Wreszcie doszło do jakiegoś przesilenia i spotkanie dobiegło końca.

– Nie ma sensu dalej tego tematu roztrząsać – powiedział Fisher, który pierwszy wyszedł z biura. – To dyskusja wojskowa, a nie inżynierska.

Hoskins kiwnął tylko głową i zerknął w stronę inżynierów bez oczekiwania na komentarz. Tamci spojrzeli po sobie, aby po chwili Wolfe Barry mógł odpowiedzieć:

– Jeśli skala powiększenia okrętów będzie nawet niewielka, to i tak wejście do Pool London nie będzie możliwe. Szerokość nie stanowi problemu, ale wysokość i zanurzenie będą przekraczały możliwości Tamizy i naszego dzieła.

– Rozumiem. – Pierwszy Lord Admiralicji kiwnął głową. – Tak jak mówiłem, dalsza rozbudowa floty nie jest konieczna.

– Rozmiar mostu w Londynie, nawet najpiękniejszego – westchnął podwładny – nie może determinować rozmiarów okrętów pancernych.

Fisher zacisnął pięść i wstrzymał dalsze wypowiedzi. Jego przełożony ostentacyjnie pokręcił głową. Potem dał do zrozumienia, że czas na nich, bo konsultacje dobiegły końca. Pożegnał się uprzejmie i ruszył do wyjścia. Fisher wyszedł za nim. Tylko młody kapitan podszedł i uściskiem dłoni podziękował po kolei wszystkim zgromadzonym. Potem dołączył do admirałów.

– Młodszy wnuk królowej Wiktorii – szepnął naczelny inżynier – jest bardziej zainteresowany przyszłością państwa niż starszy.

– Nie porównujmy – odpowiedział dyskretnie Wolfe Barry. – To jest książę George, a nie Eddy...

– No tak, ale królem będzie jego brat.



Statek pasażerski powoli zbliżał się do kei. Cumy już zostały rzucone, a trap czekał w gotowości, aby marynarze mogli go przełożyć na brzeg. Pasażerowie gromadzili się w jego okolicach, bo musieli przecież zdążyć na pociągi zmierzające w różnych kierunkach. Oczywiście większość

zamierzała pojechać do Londynu, a stamtąd udać się w głąb wyspy. Nieco z boku stał pewien przystojny młody człowiek o ciemnych włosach i orientalnej urodzie.

– Zapraszamy do Zjednoczonego Królestwa! – rzucił jeden z urzędników i otworzył przejście przez trap.

Podróżni ruszyli wolnym krokiem i po chwili kroczyli po brytyjskiej ziemi. Ciemnowłosa przepuścił postawnego mężczyznę o jasnej krótkiej fryzurze. Był on wyprostowany, jakby połknął kij od miotły. Mogło to być efektem choroby kręgosłupa i koniecznością wspomagania się gorsetem lub wcześniejszej służby wojskowej. Niósł tylko lekką torbę podróżną. Okazało się, że wyprężony człowiek jest Niemcem.

– Johann Christian Bitterstrop – przeczytał urzędnik z paszportu, a jednocześnie w tych trzech słowach zawarł kilka znaków zapytania.

– Prowadzę gospodarstwo rolne... pod Berlinem – wyjaśnił sztywny mężczyzna, bo był pewny, że o to go zapytano.

– Cel wizyty?

– Matrymonialny. – Wreszcie się uśmiechnął. – Przyjechałem poznać moją przyszłą żonę.

– Ach tak... – Przedstawiciel Królestwa wyraził zainteresowanie.

– Tak. To jest w dobrym tonie obecnie, mieć żonę z Anglii. Nie słyszał pan o szykującym się zamążpójściu Mary Theresy Cornwallis-West z Księciem von Pless?

– Czyli pan też jest niemieckim księciem? – Urzędnik nie wiedział, czy powinien jakoś szczególnie potraktować mężczyznę, bo przecież nie przypląnął w kabinie pierwszej klasy.

– Ależ nie... – zmitygował się tamten. – Nie jestem.  
Mężczyzna natychmiast stracił zainteresowanie urzędnika, który zajął się przystojnym południowcem.